

Alessandro Manzoni

NARZE CZENI

Przekład
Barbara Sieroszevska

Postowie
Grzegorz Jankowicz



ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ta odnoga jeziora Como, która pomiędzy dwoma nieprzerwanymi pasmami gór skręca ku południowi, linią swego wybrzeża pełną zatoczek i przylądków powtarzając jak gdyby zarys wyniosłości i zapadlin górskich, zwęża się raptownie i przybiera postać rzeki, mając po prawej swej stronie rozległy płaskowyż, a szerokie, niskie wybrzeże po drugiej. Most łączący w tym miejscu oba brzegi jaśniej jeszcze uzmysławia widzowi tę przemianę i wyznacza dokładnie miejsce, w którym kończy się jezioro, a zaczyna rzeka Adda; w dalszym zresztą swoim biegu, tam gdzie brzegi oddalają się od siebie, zaś wody rozlewają szeroko, tworząc nowe zatoki i nowe przylądki, przybiera ona znów miano jeziora. Wybrzeże, utworzone z osadów naniesionych przez trzy potężne potoki, spływa od podnóża dwóch wznoszących się obok siebie gór; jedna z nich to San Martino, drugą zwać w narzeczu lombardzkim Resegone* z powodu jej zębatego grzbietu, w istocie przypominającego piłę. Toteż każdy, kto ją zechce zobaczyć na wprost siebie, jak na przykład z północnych murów Mediolanu, zauważy ją i łatwo odróżni w rozległym łańcuchu gór mniej znanych z nazwy i o mniej wyrazistych kształtach.

Brzeg wznosi się tu początkowo w postaci łagodnego, długiego zbocza, dalej załamuje się, tworząc wzgórki i dolinki, stromizny

* piła

i tarasy, zależnie od szkieletu obu gór i działalności wód górskich. W bezpośredniej bliskości jeziora, gdzie brzeg przecinają głębokie jary potoków, nie ma nic prócz żwiru i kamieni; wyżej ciągną się pola i winnice, usiane gdzieniegdzie willami i zagrodami wieśniaków, jeszcze dalej pną się na zbocza gór gaje i kępy drzew.

Lecco, największe w tych stronach osiedle ludzkie, od którego całe terytorium nosi swą nazwę, leży nieopodal mostu, tuż nad jeziorem, a w czasie przyboru wód znajduje się nawet częściowo w jego obrębie. Dziś jest to duża osada przekształcająca się stopniowo w miasto. W czasach, kiedy zaszły wydarzenia, jakie zamierzamy tu opowiedzieć, osiedle, spore już wtedy, posiadało również fortecę, a co za tym idzie, miało zaszczyt goszczenia jej komendanta oraz przywilej posiadania stałej załogi hiszpańskich żołnierzy. Wojacy ci uczyli miejscowe dziewczęta i niewiasty skromności, od czasu do czasu poklepując łaskawie po ramieniu któregoś z ich mężów czy ojców, zaś pod koniec lata skrupulatnie odwiedzali winnice, by przerzedzić nieco grona i ulżyć przez to wieśniakom w trudach winobrania.

Cała ta okolica pokryta była – i jest dotychczas – splątana siecią dróg, drożynek i ścieżek biegnących od jednej zagrody do drugiej, od zboczy ku wodzie, z pagórka na pagórek. Jedne gładkie, inne strome i uciążliwe – to gubią się w obramieniu wysokich murów, skąd, podniósłszy głowę, dojrzysz zaledwie niebo i gdzieniegdzie szczyt górski, to wybiegają na otwarte tarasy, skąd widok jest rozległy, urozmaicony i pełen wciąż nowych uroków. Zależnie w jaką stronę tej ogromnej kolistej sceny zwrócisz oczy, nikną jedne, a wyłaniają się inne fragmenty. To tu, to tam przeblaskują skrawki jeziora; tu znów rozciąga się ogromna, lśniąca tafla wód. Z jednej strony jezioro wydaje się zamknięte górami, a raczej jak gdyby zabłąkane pomiędzy bezładnie stłoczone szczyty, potem rozszerza się stopniowo; wzrok biegnie coraz dalej i dalej ku górom z rozsianymi u podnóży wioskami i ku ich odwróconemu odbiciu w wodnym zwierciadle. Tu odnoga rzeki, tam dalej jezioro, znowu rzeka, której połyskliwe skręty kryją się wśród gór i nikną wreszcie wraz z nimi daleko, daleko na widnokręgu.

A tuż obok ciebie, w miejscu, z którego oglądasz te wszystkie malownicze widoki, w którąkolwiek stronę się obrócisz, ileż piękna! Góra, na której zboczu się znajdujesz, wznosi nad twoją głową strome urwiska, poszarpane turnie, ostro zarysowane na tle nieba, a zmieniające się za każdym twoim krokiem; to, co wydawało się jednolitym górskim grzbietem, otwiera się niespodzianie przed twymi oczyma i okazuje się całym szeregiem grzbietów. Z wysoka, spod szczytu, dostrzegasz nagle ten sam widok, który dopiero co porzuciłeś na dole, na wybrzeżu; pogodny, swojski urok tych zboczy łagodzi dzikość skalistych turni, podnosząc zarazem jeszcze ich wspaniałe piękno.

Jedną z takich drózek powracał właśnie ku domowi ze spokojnej przechadzki pod wieczór 7 listopada 1628 roku don Abbonio, proboszcz jednej z wyżej wspomnianych wiosek. Nazwy wioski ani też nazwiska księdza w rękopisie nie znajdujemy ani w tym miejscu, ani gdzie indziej. Proboszcz odmawiał półgłosem swoje modlitwy, od czasu do czasu, pomiędzy dwoma psalmami, zamykając brewiarz i zostawiając wewnątrz, dla odszukania miejsca, wskazujący palec; rękę z brewiarzem zakładał za plecy, splatając ją z drugą, i wędrował dalej dróżką, z pochyloną głową, końcem stopy odrzucając na bok leżące na drodze kamyczki. Chwilami podnosił głowę, toczył dokoła leniwym spojrzeniem i zatrzymywał je na jednym ze szczytów, gdzie słońce, które przed chwilą zapadło za przeciwległą górę, kładło jeszcze gdzieś na strzelistych turniach szerokie, poszarpane płaty purpury.

Otworzywszy ponownie brewiarz i odmówiwszy następną modlitwę, ksiądz znalazł się na zakręcie dróżki, w miejscu, gdzie zwykł był przystawać na chwilę i rozglądać się dokoła; tak też uczynił i tym razem.

Za zakrętem droga biegła prosto na przestrzeni jakichś sześćdziesięciu kroków, następnie rozwidła się na kształt litery Y. Ścieżka na prawo pięła się ku górze i prowadziła na plebanię; lewa schodziła w dolinę aż do potoku. Po zewnętrznej jej stronie ciągnął się niski murek sięgający przechodniom do pasa. Wewnętrzne mury obu drózek, zamiast łączyć się zwyczajnie u zbiegu,

zakończone były kapliczką z wymalowanymi na niej długimi, falującymi, ostro zakończonymi językami, które w intencji malarza, jak również w oczach okolicznych wieśniaków, wyobrażały płomienie. Pośród owych płomieni widniały jeszcze inne, niemożliwe do opisanego figury, mające wyobrażać czyściciele dusze. Zarówno dusze, jak i płomienie wymalowane były ceglastą farbą na szarawym, miejscami obdrapanym, tle.

Minawszy zakręt, proboszcz rzucił jak zwykle okiem na kapliczkę i ujrzał widok równie niespodziewany, jak niepożądany. U zbiegu drózek zobaczył mianowicie dwóch mężczyzn. Jeden z nich siedział okrakiem na niskim murku z jedną nogą zwieszoną na zewnątrz, drugą od strony drogi. Jego towarzysz stał naprzeciw niego, wsparty plecami o mur, ze skrzyżowanymi na piersi ramionami. Ich ubiór, postawa i to wszystko, co dawało się dostrzec z odległości, w jakiej znajdował się proboszcz, nie pozostawiało żadnej wątpliwości co do kondycji społecznej tych ludzi. Obaj mieli na głowach zielone siatki zwisające na lewe ramię i zakończone sporym chwastem. Z siatek tych sterczały im nad czołem groźne grzywy, a długie wasy zakręcone były zawadiacko na końcach. U lśniących skórzanych pasów mieli po dwa pistolety, a na piersi zawieszone na kształt naszyjników niewielkie rogi z prochem. Z kieszeni szerokich bufiastych płudrów widniała u obu rękojeść sztyletu, u boku zaś ogromna garda szpady, spleciona w cyfrę z mosiężnych wężyków, wyczyszczona i lśniąca. Wystarczyło jednego rzutu oka, by rozpoznać w nich osobników znanych pod nazwą *bravi*.

Gatunek ten, po którym dziś nie ma już śladu, był wówczas w Lombardii od dawna w pełnym rozkwicie. Dla tych, którzy nie wiedzą, co to takiego – oto parę autentycznych tekstów dających pojęcie o instytucji *bravich*, o wysiłkach, jakie podejmowano celem jej wytepienia, oraz o niepokonanej jej żywotności.

Już 8 kwietnia 1583 roku Jego Wysokość Jaśnie Oświecony don Carlos d’Aragona, książę na Castelvetro, diuk Terranuova, margrabia d’Avola, hrabia Burgeto, wielki admirał i konetabl Sycylii, gubernator Mediolanu, wódz naczelny Jego Katolickiej

Królewskiej Mości w Italii, „szczegółowo powiadomiony o srogiej nędzy, w jakiej żyło i żyje miasto Mediolan z racji *bravich* oraz włóczęgów”, wydał przeciwko nim dekret, w którym „oznajmia i wiadomym czyni, iż dekret wymieniony dotyczy wszelkich *bravi* tudzież włóczęgów, którzy czy to obcy, czyli w księstwie urodzeni, do nijakiego nie przynależą rzemiosła lub przynależąc, takowym się nie trudnią... lecz oddawszy się w opiekę jakowemuś szlachcicowi, oficyerowi bądź też kupcowi, z żołdem alibo bez, zaliczeni są w jego poczet, rzekomo gwoli dostojęństwa, a prawdziwie ku czynieniu gwałtów...”. Tym wszystkim dekret ów nakazywał opuścić granice księstwa w terminie sześciodniowym, grożąc opornym galerami, oraz dawał wszelkim organom sprawiedliwości niezwykle rozległą, a bliżej nieokreśloną władzę, mającą umożliwić wykonanie zarządzenia. Mimo to już w następnym roku, dnia 12 kwietnia, wyżej wymieniony pan, zauważywszy, że „...Miasto owo pełne jest nadal osób, zwanych *bravi*... które to osoby żyją, jak ongi żyły, i ani nie zmieniły swego obyczaju, ani ich liczba bynajmniej nie uległa zmniejszeniu...” – wydał drugi dekret, ostrzejszy i bardziej szczegółowy, w którym między innymi obwieszcza: „Ktokolwiek, czy to mieszkaniec tego miasta, czy obcy przybysz, byłby przez dwóch świadków wskazany jako ogólnie poczytywany za *bravo* i takie nosiłby miano, chociażby o nijakiej zbrodni przezeń popełnionej nie było wiadomo... z racji, w braku innych poszlak, li tylko reputacji swojej, może być przez wymienionych sędziów lub poszczególnego skazan tytułem śledztwa na powrót i męki... zaś w braku przyznania się do winy może być także posłany na galery na lat trzy, jeśli – jak wyżej wspomniano – poczytywan jest powszechnie za *bravo*...”.

Wszystko to, jak również wiele innych szczegółów, których tu nie przytaczamy, wypływało z przyczyny, że „...Jego Ekscelencji wolą jest absolutne od wszystkich niniejszemu dekretowi posłuszeństwo”.

Słyszając te mocne i pewne siebie słowa tak wielkiego pana oraz towarzyszące im srogie zarządzenia, chciałoby się wierzyć, że sam ich ton wystarczy do unicestwienia wszystkich *bravi* raz na zawsze.

Cóż, kiedy świadectwo innego wielkiego pana, nie mniej posiadającego tytułów, przekonywa nas, że było wprost przeciwnie. Jest to ni mniej, ni więcej, tylko Jaśnie Oświecony don Juan Fernandez de Velasco, konetabl Kastylii, szambelan Jego Królewskiej Mości, książę na Frias, hrabia Haro i Castelnovo, pan włości Velasco tudzież włości Siedmiorga Infantów, gubernator Mediolanu etc. Piątego czerwca 1593 roku równie jak jego poprzednik szczegółowo powiadomiony o tym, „...ilu szkód i nieszczęść są przyczyną... *bravi* tudzież włóczędzy i jak dalece stoją oni dobru powszechnemu na zawadzie, ujmę przynosząc sprawiedliwości...”, obwieszcza im ponownie, że w terminie sześciodniowym mają opuścić terytorium mediolańskie, powtarzając przy tym z niewielkimi zmianami wszystkie groźne ostrzeżenia swego poprzednika. A dalej: 23 maja 1598 roku „...powiadomiony ku wielkiemu swemu niezadowolaniu, że... zarówno w mieście, jak na całym obszarze księstwa, liczba takowych (*bravich* i włóczędów) nieustannie wzrasta, iż dniem i nocą słychać wciąż o zasadzkach, ranach zdradziecko zadanych, zabójstwach, rabunkach tudzież rozlicznych innych zbrodniczych czynach, których wyżej nazwani *bravi* pod osłoną swoich panów i protektorów dokonywują...”, nakazuje ponownie te same środki, zwiększając tylko dawki, jak to zazwyczaj bywa przy uporczywych chorobach. „Każdy tedy – brzmi zakończenie dekretu – winien strzec się przekroczenia w najmniejszej mierze zarządzeń niniejszego dekretu, by zaś miast wielkoduszności Jego Ekscelencji nie doświadczył na sobie gniewu Jego tudzież srogości prawa... albowiem Jego Ekscelencja postanawia i wszem wobec wiadomym czyni, jako jest to ostateczne i nieodwołalne ostrzeżenie...”.

Nie był jednak widocznie tego samego mniemania Jaśnie Oświecony don Pedro Enriquez de Acevedo, hrabia Fuentes, wódz naczelny i gubernator Mediolanu. Nie był on tego zdania, a to ze zrozumiałych powodów; albowiem „...szczegółowo powiadomiony o mizeryach, jakich doświadcza miasto oraz całe terytorium Mediolanu z przyczyn wielkiej mnogości *bravich*... postanawia wykorzeńić doszczętnie ów chwast tak szkodliwy” i wydaje

5 grudnia 1600 roku dekret pełen równie groźnych jak tamte zapowiedzi, z zaznaczeniem, „jako pod grozą najcięższych kar, bez żadnej zgoła nadziei odpuszczenia, winny być powyższe zarządzenia przestrzegane”. Należy jednak wnosić, że nie poprowadził tej kampanii z takim zasobem dobrej woli, jaki zwykł był wkładać w knucie intryg i podjudzanie przeciw swemu potężnemu wrogowi, Henrykowi IV; historia świadczy bowiem, że potrafił uzbroić przeciwko temu królowi księcia Sabaudii, czym przyprawił go o utratę niejednego miasta; że zdołał wciągnąć do spisku księcia de Biron i przyprawił go o utratę głowy; natomiast co się tyczy „owego chwastu tak niebezpiecznego”, czyli *bravich*, nie ulega wątpliwości, że plenił on się nadal jeszcze 22 września 1612 roku. Tego bowiem dnia Jaśnie Oświecony don Juan de Mendozza, margrabia Hynojosa, pan na etc., gubernator etc., powziął poważny zamiar wytępienia go. W tym też zamiarze posłał do Pandolfa i Marca Tullia Malatestów, drukarzy rządowych, ten sam co zawsze dekret, nieco poprawiony i uzupełniony, do ponownego wydrukowania gwoli wytępienia *bravich*. Oni jednak żyli i prosperowali mimo wszystko, po to chyba, aby otrzymać 24 grudnia 1618 roku podobne, tyle że silniejsze ciosy z ręki Jego Wysokości don Gomeza Suarez de Figueroa, księcia Feria etc., gubernatora etc. A że nie wyginęli i od tego ciosu, Jego Wysokość don Gonzalo Fernandez de Cordoba, na czas władzy którego przypadła fatalna przechadzka don Abbondia, zmuszony był uciec się do ponownego opublikowania nieśmiertelnego dekretu przeciwko *bravim*, co też uczynił 5 października 1627 roku, czyli na rok, miesiąc i dwa dni przed opisanym tu wydarzeniem.

Nie był to zresztą dekret ostatni; wydaje nam się jednak, że o dalsze możemy się nie troszczyć, skoro wykraczają poza okres, w jakim dzieje się nasza opowieść. Wspomnijmy tylko jeszcze dekret z 13 lutego 1632 roku, w którym Jego Wysokość księżę Feria, będąc po raz drugi gubernatorem, zauważa, że „...najstraszliwsze zbrodnie przez osoby zwane *bravi* popełniane bywają...”. Wystarcza to, by nas upewnić, że w czasie, z którym mamy tu do czynienia, *bravi* istnieli w dalszym ciągu.

Że ci dwaj przy kapliczce czekają na kogoś, było aż nadto widoczne. Ale co zaskoczyło don Abbondia w sposób nader przykry, to odkrycie, że tym, na kogo czekają, jest on sam. Z chwilą jego pojawienia się na drodze tamci popatrzeni na siebie i równocześnie unieśli głowy, jak gdyby mówiąc: „Oto on”. Ten, który siedział okrzakiem, podniósł się, przekładając nogę na stronę drogi; drugi oderwał się od muru i obaj ruszyli, nadchodząc naprzeciw. On zaś, trzymając wciąż przed sobą otwarty brewiarz, pogrążony niby w czytaniu, rzucał przed siebie ukradkowe spojrzenia, śledząc ruchy nieznanym.

Zobaczył, że idą mu na spotkanie, i w głowie zawirował mu rój niespokojnych myśli. Zadał sobie pytanie, czy na przestrzeni dzielącej go od groźnych *bravi* nie ma jakiej ścieżynki odchodzącej od drogi w prawo czy w lewo, dokądkolwiek; ale uświadomił sobie natychmiast, że nie. Przemknął szybko myślą własne uczynki, usiłując przypomnieć sobie, czy nie ma czegoś na sumieniu w stosunku do kogoś możliwego a mściwego, ale nawet w tak wielkim zamęcie myśli widział, że i pod tym względem może być spokojny. A przecież *bravi* zbliżali się, bacznie się w niego wpatrując... Wsunął dwa palce pod kołnierz, jakby go coś uwierało, przekręcając przy tym głowę tak, że aż wykrzywił usta, i spoglądając kąciakiem oka do tyłu, czy nikt nie nadchodzi; ale nie dojrzał nikogo. Poprzez murek ogarnął spojrzeniem pola – nikogo. Rzucił nieśmiało okiem przed siebie – nikogo i tam także oprócz tych dwóch. Co robić? Zawrócić? Na to było za późno; bowiem uciekać byłoby równoznaczne z wezwaniem do pogoni, jeśli nie do czegoś gorszego. Nie mogąc zatem zejść z drogi niebezpieczeństwu, ruszył mu naprzeciw, gdyż ta chwila niepewności była tak przykra, że za wszelką cenę pragnął ją skrócić. Przyspieszył kroku, odmawiając modlitwę głośniejszą nieco niż zwykle i siłąc się przywołać na twarz wyraz spokoju i pogody; próbował nawet się uśmiechnąć. Znalazłszy się twarzą w twarz z tymi dwoma, powiedział sobie w myśli: „Stało się”, i stanął w miejscu.

– Mości proboszczu – odezwał się jeden z nich, patrząc uporczywie w oczy don Abbondia.

– Co waćpan rozkaże? – odpowiedział ten skwapliwie, odrywając wzrok od brewiarza, który leżał otwarty na jego rękach niby na pulpicie.

– Ksiądz zamierza pono – rzekł drugi gniewnym, ostrym tonem, jak gdyby gromił swego podwładnego, schwytawszy go na jakimś łajdactwie – ksiądz zamierza pono udzielić jutro ślubu Renzowi Tramaglino i Lucii Mondella?

– To jest... – bąknął drżącym głosem don Abbondio – jak by tu rzec... Waćpanowie znają przecie świat i wiedzą, jak to bywa... biedny proboszcz nic tu nie ma do gadania... Zmówią się sami, potem do nas jak w dym, jak do bankiera po pieniądze... A my? Cóż, naszą rzeczą jest służyć bliźnim...

– Otóż – powiedział *bravo* władczy i uroczystym tonem, mimo że nachylony do ucha księdza – tego ślubu nie będzie. Ani jutro, ani nigdy.

– Ależ, mości panowie – zaczął proboszcz tonem łagodnej perswazji, jakim przemawia się do zapalczywych osób, aby je przywieść do rozsądku – raczcież wejść w moje położenie. Alboż w mojej to mocy? Toż pojmujecie sami, waćpanowie, że co do mnie, to mnie to ni ziębi, ni grzeje...

– No, no – przerwał mu tamten – jeśliby tu o gadanie jeno chodziło, wnet zagnałby nas ksiądz w kozi róg. Nam nic do tego ani chcemy o tym więcej słuchać. Człek uprzedzony... pojmuj ksiądz?

– Ależ, mości panowie, jesteście przecie ludzie rozumni, sprawiedliwi...

– Tak, tak – wtrącił się drugi, który nie odzywał się dotychczas. – Ślubu nie będzie, bo... – tu zaklął brzydko – bo ten, co by go dał, to i pożałować tego nie zdąży.

Tu nastąpiło nowe przekleństwo.

– Cicho sza – odezwał się znów pierwszy. – Proboszcz jegomość jest człek doświadczony, my takóŜ dobre chłopcy, krzywdy niczyzej nie chcemy, byle ksiądz miał rozum. Księżę proboszczu, nasz pan, jaśnie wielmożny don Rodrigo, wielce jegomości szanuje.

Dźwięk tego imienia był dla don Abbondia niby błyskawica, która na moment przerywa ciemność burzliwej nocy, oświetla